

W podróż do nowego domu
wyruszał z gospodarzami
także żywy inwentarz

Foto PAP (2)

ramat POLSKICH przesiedleńców

Los kresowiaków został jednak przesądzony dużo wcześniej. W listopadzie 1943 r. w Teheranie „wielka trójka” (Stalin, Roosevelt i Churchill) ustaliła wschodnią granicę Polski. Zanim zostało to oficjalnie potwierdzone w Jaltie i Poczdamie (1945), we wrześniu 1944 r. powołany w Moskwie PKWN zawarł z sowieckimi republikami ukraińską, białoruską i litewską umowy o przesiedleniach polskiej ludności. A już w grudniu 1944 r. wyruszył pierwszy transport polskich repatriantów z Ukrainy.

Usunąć Polaków

Władze Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej chciały jak najszybciej pozbyć się polskiej ludności. Straszni przez ukraińskich nacjonalistów, nadal grasujących z siekierami, w obawie przed aresztowaniami i wywózką na Syberię, Polacy pakowali swój dobytek i udawali się na stację kolejową. Bywało jednak, że tygodniami koczowali tu w oczekiwaniu na transport, bo często nie mieli już wstępu do własnego domu. Na Litwie i Białorusi dla odmiany w pewnym momencie wła-

nie z umową wolno im było zabrać dwie tony bagażu na rodzinę, w tym żywy inwentarz – zjawiali się na stacjach kolejowych. Czasami miesiącami vegetowali na dworcach, często bez możliwości ugotowania jedzenia, schronienia się przed deszczem czy zimmem, narażeni na rabunki. Byli okradani zarówno przez przedstawicieli miejscowych władz, które domagały się niezapłaconych rzekomo podatków, jak i różne uzbrojone bandy. Nieraz tracili nie tylko cały dobytek, ale też życie. Nierzadko urzędnicy zarządzali też kwarantannę dla zwierząt, i to wtedy, gdy pociąg już stał. Przesiedleńcom w końcu nie wiedział, co robić: czekać na zwierzęta czy jechać? Wybierał to drugie, bo wagonów było mało. W dodatku były brudne, pełne insektów i uszkodzone. W podróż wyruszano głównie odkrytymi węglarkami i platformami zwanymi lorami, niedającymi ochrony przed deszczem, śniegiem i wiatrem. Nic więc dziwnego, że trwające nieraz wiele tygodni podróże zbierały tragiczne żniwo. Ludzie jechali w tłoku razem z bydłem, kurami i kaczka-

mi. Dzieci chorowały, zwierzęta wyły z głodu, nikt nie wiedział ani kiedy, ani jak się skończy wyprawa na Ziemię Odzyskane. Zaledwie bowiem pociąg ruszył z miejsca, zaczynały się postoje w szczerym polu, czasem nawet kilkudniowe. Najczęstszą przyczyną było „psucie się” parowozów. Tak obsługa pociągu wymuszała na podróżnych haracz. By kontynuować jazdę, należało urządzić kwestę, zebrać trochę gotówki, wódki, jedzenia i jechało się dalej.

Na ziemi wroga

Dotarcie do celu nie oznaczało końca kłopotów. Przesiedleńców najczęściej wyładowywano na jakiejś stacji lub w jej pobliżu, gdzie przebywali jakiś czas w tzw. punktach docelowych, które organizowały oddziały Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR). Tu – nieraz po wielu tygodniach oczekiwania – otrzymywali przydział gospodarstwa i transport do nowych domów. Według założeń Ministerstwa Ziemi Odzyskanych na Warmię

i Mazury, Pomorze Zachodnie i w Poznańskie mieli trafić mieszkańcy Wileńszczyzny, Grodzieńszczyzny, Polesia i Podlasia. Z Wołynia i Galicji Wschodniej przesiedlano ludzi głównie na Górny i Dolny Śląsk oraz ziemię lubuską. Jednak w rzeczywistości drogi polskich kresowiaków wiodły nie tak, jak chciały władze. Repatrianci zmieniali transporty i plany na własną rękę, poszukiwali miejsca do życia niekoniecznie tam, gdzie ich wysadzano. Woleli osiedlać się w Polsce centralnej, bliżej swoich małych ojczyzn i w pobliżu rodziny, wielu z nich ją tu miało. Często też przemierzali całe ziemie zachodnie, szukając jak najlepszego lokum. Zasada „wieśniacy na wieś, miastowi do miast” też często była łamana. Ludność wiejska kłeciła więc kurniki, chlewiki, obórki i pasieki na podwórkach miejskich kamienic.

Własny dom

Przesiedleńcy teoretycznie byli pierwsi w kolejce do gospodarstw

czy poniemieckich nieruchomości, ale nierzadko na przydział czekali ponad miesiąc. Na przejęcie poniemieckiego majątku liczyli również osadnicy ze środkowej Polski i to oni na ogół zwyciężali. Starania PUR, by to uregulować, nie dawały żadnego efektu. Dopiero interwencja Ministerstwa Ziemi Odzyskanych to zmieniła. Nowi mieszkańcy na poniemieckich wsiach nie zawsze jednak potrafili się odnaleźć. Nie znali udogodnień, jakie tu zastali. Ziemie opuszczone i zasiedlane często dzieliła przepaść cywilizacyjna. Maszyny rolnicze i inne „germańskie wynalazki” lądowały na kupie złomu, a urządzenia, np. kanalizacyjne, ulegały dewastacji. „Było to jakby wkroczenie do nowego świata: brukowana dotychczas droga przeszła w asfalt, drewniane chałupy zniknęły. Domy były murowane, z czerwonej cegły, pokryte dachówką. Powiało obcością...” – wspominał jeden z repatriantów minięcie rowu granicznego pomiędzy Polską i byłymi Prusami.

Życie na walizkach

Repatrianci nie wiedzieli, jak długo przyjdzie im mieszkać w nowym miejscu, nie próbowali więc zapuszczać korzeni. Obawiali się powrotu Niemców czy wybuchu nowej wojny. Latami żyli więc na walizkach, czekając na powrót na swoje Kresy. Wojenne doświadczenia pokazały, że z ludnością cywilną nie liczy się już nikt. Przybywający na nowe tereny widzieli nie tylko zniszczenia, ale też rabunek mienia przez Rosjan i szabrowników. – Wszystko, co było w domach, trzeba było odwieźć do specjalnego punktu. Zwożono tam meble, maszyny, urządzenia. Te towary były później ładowane na wagony i wywożone do Rosji – opowiadał po latach jeden z przesiedlonych na Dolny Śląsk. Działo się tak, mimo że na mocy podpisanej umowy między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej RP a rządem ZSRR ten ostatni „zrzekał się na rzecz Polski wszelkich pretensji do mienia niemieckiego i innych aktywów”.

WARUNKI OSIEDLEŃ

Przesiedleńcom zapewniono odszkodowanie za mienie pozostawione (ziemia, nieruchomości) w formie gospodarstwa wiejskiego lub nieruchomości miejskiej. W praktyce część przesiedleńców otrzymała nowy, czasami znacznie lepszy dom, inni otrzymali znacznie mniej lub nic.

dze zaczęły utrudniać repatriację, zwłaszcza w przypadku mieszkańców wsi, obawiając się spadku produkcji rolnej. Nie zezwalano więc chłopu się zarejestrować, zanim nie zasieje, a potem okazywało się, że po zasiewach już nie rejestrowano albo dla zarejestrowanych nie było wagonów i trzeba było czekać.

Wędrowniacy

Przesiedleńcy, zaopatrzeni w „ewakuacyjny list”, z dobytkiem życia – zgod-

Gdańsk, 1947 r. Ludność z Kresów wioząca ze sobą cały dobytek, który udało jej się spakować do pociągu

